



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### SPRAWOZDANIE Z ZADANIA KONKURSOWEGO.

(Dokończenie).

Wyobrażam sobie, z jaką niecierpliwością kochaneczki moje, które przysłały odpowiedzi na zadanie konkursowe, wyglądają dzisiejszego N-ru. „Wieczorów”. No, i młodzi panowie, chociaż to niby kobiety tylko ciekawością grzeszą, musieli jednak nieraz w ciągu tygodnia obliczać dnie, dzielące ich od ostatecznego wyroku... a wyrok ten ja, ja, Gołąbka pocztowa, trzymam w swoich rękach! Niedarmo Kochana pani często mi powtarza: „strzeż się, Gołąbko, żebyś nie popadła w pychę, bo troszkę cię psują miłe nasze korespondentki”. Ale cóżbym znów zaraz miała się popsuć, dlatego, że mnie kochają? Miłość tylko złych ludzi psuje, to przecież nie pycha, że do takich zaliczoną być nie chcę, a szlachetna duma,

jak to wykazało jedno z dawniejszych moich zadań, z pychą nic nie ma wspólnego.

Dość jednak tego gadulstwa, muszę czempredziej przystępować do rzeczy, bo gdybym jeszcze i w tym tygodniu nie załatwiła się ze sprawozdaniem, byłoby to nadużyciem waszjej cierpliwości. Rozpaczam tedy przegląd odpowiedzi młodych naszych panów. 14 letni Mefistofeles ładnie opisał dzieje jakiegoś organisty, może i prawdziwe, ale mnie wcale nie o to chodziło, jak sobie radził ten zacny organista w sieroctwie i opuszczeniu, tylko coby począł sam szanowny Mefistofeles w położeniu podobnem. Zapewne poszedłby za przykładem organisty? W każdym razie odpowiedź niezupełnie jest stosowna. 12 letni Rzemieślnik, to mi dzielny chłopak, co się zowie, oto co pisze śliczną kaligrafią: „Ponieważ od kilku miesięcy jestem uczniem szkoły rzemiosł, gdzie ucze się ślusarstwa, szukałbym terminu w tem rzemiośle. Gdyby mnie nie przyjął żaden ślusarz, dlatego, że jestem zamały, poszedłbym do innego terminu, w którym wiek mój mniejszą stanowiłby przeszkodę, np. do introligatora, szewca, rękawicznika, wreszcie na chłopca do cukierni. Wtedy zapisałbym się do Szkoły niedzielnej dla małych rzemieślników, żeby nie zapomnieć tego, co umiem, a dopełnić różnemi wiadomościami rozpoczętą w lepszych czasach naukę. Wiem, że terminatorzy, gdy odnoszą robotę, dostają po kilka groszy; zbierałbym starannie te grosze i oddawał je do Kasy Oszczędności. Za te pieniądze wyzwoliłbym się na czeladnika, a wówczas otrzymywałbym zapłatę od majstra.”

Cieszę się, że moje zadanie podało Rzemieślnikowi sposobność do napisania tak roztropnej i pocziwej odpowiedzi. 12 letni M. W. (cyfry nie zastępują wprawdzie pseudonimu,



lecz odpowiedź tak dobrze napisana, że odstąpiłam na ten raz od prawidła) otóż M. W. prawie toż samo obmyślił, co i Rzemieślnik. Wezwawszy przede wszystkim pomocy Bożej, co mu się bardzo chwali, poszedłby pracować u rzemieślnika, starając się dostać do zanego człowieka, któryby mu ułatwił uczęszczanie do jakiej szkoły. Praktyczny ten młodzieniec sprzedałby wszystkie ruchomości i otrzymane ztąd pieniądze złożyłby w Kasie Oszczędności.

13 i 15 letni Lelum Polelum (dwaj zgodni bracia) mają nadzieję, że nie potrzebowaliby w żadnym wypadku szkół opuszczać, lecz utrzymaliby się, dając młodszym uczniom korepetycje. Gdyby im to było zatrudno, staraliby się o posadę w księgarni, aby się nie rozstawać z ulubionymi książkami, wreszcie do lat doszedłszy, wstąpiliby do wojska. Młodzieńcy ci widocznie rycerskim animuszem są ożywieni. 9 letni Mazur postarałby się dostać na stypendyum, aby nauki skończyć, obrałby zawód techniczny, a potem prosto jechałby do Łodzi i tam umieściwszy się w jakiej fabryce, miałby zapewniony kawałek chleba. Jak na lat dziewięć, Mazur ten bardzo roztrąpnie myśli. Ale i młodszy, 7 letni Kary Konik z Kalisza z wielkim rozsądkiem wszystko obmyślił, coby zrobił w razie opuszczenia na świecie. Oto co pisze: „Poszedłbym do tego pana, co drukuje „Kaliszanina” i poprosiłbym, żeby ogłosił, że ja jestem biedny chłopczyk siedmioletni, nie mam nikogo na świecie, ktoby mną się opiekował; możeby więc jacy państwo chcieli mnie przyjąć do nauki ze swemi dziećmi. Jabym za to zachęcał do nauki tamte dzieci i dawałbym dobry przykład, i pomagałbym w nauce młodszym dzieciom, żeby się tym sposobem wydzięczyć”. Jakie to mądre i pocziwe Koniki są w Kaliszu!

14 letni Sarmata zupełnie tak myśli, jak Mazur. Najpierw postarałby się o stypendyum, potem wykształciłby się na inżyniera, a pracując uczciwie w tym zawodzie, miałby byt zapewniony. Bardzo pięknie mówi Sarmata, że „człowiek w najkrytyczniejszym położeniu nie powinien tracić odwagi i nie spuszczać się na nikogo”. 13 letni Mechanik także do praktycznych i myślących młodzieńców należy. „Zostawszy sam na świecie, powiada, postarałbym się o miejsce chłopca do pomocy w jakiej drukarni, za co miałbym jakie takie mieszkanie i życie przy ubogiej rodzinie. Za jakie pół roku, gdybym się nauczył składać czcionki, zostałbym składaczem i ma się rozumieć brałbym większą pensyą; ale nie zmieniałbym wcale trybu życia, tylko odkładałbym część pieniędzy”. Przy tak rozsądnem postępowaniu, słusznie sądzi Mechanik, iż z czasem zajmowałby coraz korzystniejsze posady, a w końcu możeby i własną drukarnią założył. 9 letni Kłosek litewski wyznaje z chwalebą otwartością, że umie bardzo niewiele, w główce mu wróble latają, więc byłby w kłopotie wielkim, gdyby potrzebował sam o sobie myśleć. Ale dzielny to jest Kłosek, nie wstydzi się żadnej pracy, gotów w braku innej paść gąski, a nawet... prosiątka. „Zdaje mi się, powiada, że nie zginąłbym na świecie, bo mi często rodzice mówią, że Bóg nikogo nie opuszcza, a dobrym chęciom i pocziwej pracy zawsze dopomaga”. Zebrawszy sobie jakiś grosz z takiej służby na wsi, Kłosek starałby się dostać do miasta i umieścić w jakim zacnym domu, gdzieby dawał korepetycje młodszemu dziatwie, a za to mógł sam się kształcić. Ogromnie mię ujął ten Kłosek, nietylko tem, że tak uprzejmie „końce skrzydełek moich całuje,” ale porządnie i roztrąpnie napisanym liścikiem.

11 letni Mars nie potrzebuje długo głowy łamać nad tem, co uczynić wypada, nie mając żadnej opieki i pomocy na świecie. Ma bowiem najlepszy przykład na ojcu własnym, który w piętnastym roku życia przybył do Warszawy z trzema rublami w kieszeni, a dziś zajmuje korzystną posadę w fabryce, do której wówczas wstąpił jako terminator. Mars postąpiłby tak samo, lecz zapewne i w szczęśliwszych warunkach się wychowując, nie zapomni, że przykład ojca obowiązuje i że jabłko niedaleko powinno padać od jabłoni. 7 letni Sokół postarałby się, ażeby ogłoszono w Kuryerze, że mały chłopczyk za życie i mieszkanie gotów jest pilnować i bawić młodsze od siebie dzieci. Liczy na to, że dodanoby do tego ubranie, bo rodzice wstydziliby się widzieć przy swoich dzieciach obdartusa. Dorósłszy trochę, poszedłby na naukę jakiego rzemiosła. 13 letnie Gołębie Skrzydło (coś jakby mój blizki krewniaczek) osobliwszy ma pomysł. Chodziłby po domach i zbierałby stare szmatki na sprzedaż, to jest, zostałby łachmaniarzem. Dobre i to od biedy, ale coś mi się nie zdaje, aby tak łatwo można było tym sposobem, jak utrzymuje Skrzydło Gołębie, dojść do wielkiego majątku. Nie mam jednakże uprzedzenia żadnego przeciw łachmaniarzom, można i w tym zawodzie uczciwie na chleb zarabiać.

A teraz już ani chwili nie tracąc, wyznaczam nagrody. Z bólem serca muszę poprzestać na dwunastu tylko dla panienek i sześciu dla chłopców, bo tyle wyliczono w redakcyi, chociaż jabym rozdała z pewnością drugie tyle, gdyby to odemnie zależało. Rada nie rada muszę przynajmniej odznaczyć te inne, które podług mnie zasłużyły także na nagrody. Nie będę więc dzielić tym razem nagród na stopnie, lecz wyliczam według porządku alfabetycznego pseudonimy wszystkich, do nagród przedstawionych. Najpierw panienki: Białoszka — Biedronka warszawska — Bławatka z nad Horynia — Chciwa wiedzy — Dziewanna z pól mazowieckich — Gosposia z nad Warty — Gwiazdka z Podola — Halka z Litwy — Krasnolica — Kuropatwa z nad Ikopetiu — Łezka srebrzysta — Polka z M. — potem młodzi panowie: Kary Konik z Kalisza — Kłosek litewski — Mechanik — Mars — Rzemieślnik — M. W. — Na odznaczenie zasłużyły panienki następujące: Chętna — Ciemnowłosa Dzieweczka — Czarnooka z Puszczy — Etna — Jagódka z Podola — Jedlinka — Lobelia — Mgła — Poranek majowy — Radziwianka — Różyczka biała z Wołynia — Światelko — młodzi panowie: Mazur — Sokół — Sarmata.

Wybrnąwszy jako tako z tego konkursu, trzeba niezwłocznie pomyśleć o następnym; kilka kochanych korespondentek kończy właśnie niezadługo lat 15, muszę więc konkurs przyspieszyć, ażeby jeszcze choć raz jeden mogły z niego korzystać. Długo myślałam, długo, czemby to miłym towarzyszkom moim dogodzić, no i wymyśliłam w końcu, a czy mi się dobrze udało, nie moja rzecz sądzić, wy to ocnicie same. Wszyscy, jak uważam, czytelnicy nasi, i panienki, i panowie młodzi, ogromną mają ochotę do autorstwa. Ach! co tych rękopisów nadchodzi zawsze do naszej redakcyi! Biedna Kochana pani cudem jakimś doprawdy zachowała dotąd oczy od zniszczenia, bo odczytać takie stopy gryzmołów, (przepraszam za wyrażenie, ale mało kto porządnie kaligrafią te utwory pisze) to zadanie nielada, a ona najsumienniej każdy świstek odczytuje. Najczęściej jednak z westchnieniem pakujemy to wszystko prawie... do kosza.

Otóż postanowiłam dać wam raz pole do popisu i wy-



znaczam konkurs na napisanie powiastki do rysunku, umieszczonego w N-rze. dzisiejszym, z podpisem: Zadanie konkursowe". Łatwo jest wyobrazić sobie zdarzenie jakieś, do którego ten rysunek da się zastosować. Powiastka powinna być niezbyt długa, ażeby się zmieściła w jednym N-rze. Dodatku dla małych dzieci. Ztąd wynika, iż ma być do pojęcia młodszych czytelników stosowna. Najlepsza będzie wraz z rysunkiem wydrukowana, inne dobre zamieścimy później z kolei. Spodziewam się, że nagród będę mogła wyznaczyć kilka lub kilkanaście.

Warunki następujące: do konkursu mogą należeć czytelniczki i czytelnicy do lat 15-tu, co znaczy, że kto ukończył lat 15, choćby wczoraj dopiero, już traci to prawo. Przy rękopisie należy się podpisać imieniem i nazwiskiem prawdziwym, wymienić wiek, adres dokładny, a oprócz tego dodać pseudonym do druku. Odpowiedzi będą przyjmowane do 20 Maja. Kto tych warunków, tak łatwych do spamiętania, nie dopełni, musi być wyłączony z konkursu, ku wielkiemu żmierzieniu serdecznej przyjaciółki

*Gołąbki pocztowój.*

P. S. Kochana pani taka na mnie łaskawa, że obiecała za tydzień znów wydrukować mój List z Warszawy; odpowiem więc wszystkim miłym paniom, które do mnie pisały w ostatnich czasach.

## Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Przy tych słowach zaczęto wstawać. Wśród huku odsuwanych ławek przełożona znów podniosła rękę, mówiąc:

— Cicho... cicho... zdaje mi się, że ktoś zadzwonił.

— O tej godzinie? — spytała jedna z matron, niedawno zamieszkała w klasztorze i nie znająca jeszcze tamtejszych zwyczajów.

— Cóż dziwnego? — Odrzekły mniszki. — Jaki podróżny, jaki chory, proszący o lekarstwo lub księdza.

Istotnie, w owych czasach, kiedy na bezdrożach i tak zwanych drogach nie znano poczt ani hotelów, klasztorzy utrzymywały dla podróżnych dom wiecznie otwarty, i to było jednym z największych dobrodziejstw, z najśrodszych łączników społeczeństwa. Przy każdym klasztorze, oprócz szkółki i szpitala, był jeszcze taki dom gościnny. W zgromadzeniach żeńskich, jak Witowskie, mężczyźni przejeżdżających puszczano do sal osobnych, umieszczonych poza kłauzurą, gdzie służyli kościelni opatrywali ich potrzeby. Niewiastom podróżującym lub chorym zakonnice usługiwały same. Ubogim zawsze darmo; bogaci płacili, jeśli chcieli „co łaska”, lub wywdzięczali się darami dla kościoła. Nieraz widziano podróżników, co na jeden przybywszy nocleg, zostawali na długo, czasem na całe życie, i z ugoszczonych zmieniali się w gospodarzy. Obyczaj ten zapewne nie mało przeskądzał zachowaniu twardej reguły i skupieniu ducha zakonnego; za to znów opłacał się towarzyskim pożytkiem, i sprawiał, że klasztorzy nie były jak dzisiaj warownią samotności i milczenia, ale tętniącymi w narodzie żyłami, przez które przepływał prąd ruchu, nowin i oświaty.

Nie zdziwiły się więc panny zakonne, kiedy i poraz drugi jeszcze wyraźniej zadzwoniono. Co je mocniej zdziwiło, to przestraszc, z jakim furtyanka wkrótce wbiegła, podnosząc ręce i wołając:

— O Jezu Nazareński! Co też to nam przyszło! Jakieś kobiety z dziećmi, poranione, pokrwawione, obszarpane, wpół nagie, powiadają, że Tatarzy obdarli je i pobili.

— Co? Tatarzy? — krzyknęły mniszki i panienki. — Tatarzy? Więc już są tak blisko?

— Tego ja nie wiem. One mówią, że aż z pod Lublina uciekły.

— I gdzie są? Gdzie są? — pytała matka przełożona.

— A no za furta.

— Jakto? Jeszcze ich nie wpuściłaś?

— Kiedy, proszę matki, jakiś mię strach ogarnął. Taką ich moc, że nie wiem, czy nasze łóżka szpitalne wystarczą. A wyglądają... istne widma. A przytem gadają... jakoś niby z polska, a to nie po polsku.

— Wstydź się—przerwała przełożona—kto się boi nie-szczęśliwych? Jak łóżka nie wystarczą, to się znajdzie słoma, zawsze lepiej, niż trzymać je na mrozie.

— A cóż mówią stróże nocni, jak ich tak wiele? — zagadnęła jedna z zakonnice.

— Wołałam na stróżów, żaden się nie odezwał. Śpią próżniaczyska, śpią.

— A to bardzo źle — mówiła ksieni — trzeba zaraz jutro dać im burę, a tymczasem idźmy do tych biedaczek.

I wzięwszy kaganiec w rękę, szła naprzód, za nią inne mniszki także z kagańcami, za niemi panienki miotane i strachem, i ciekawością, tłoczyły się jak stado owiec.

Doszedłszy do furty, przełożona zajrzała najpierw przez okratowane okienko. I ona w pierwszej chwili cofnęła się z przestraszc, ale wnet odzyskując spokój, zapytała:

— A zkąd to Bóg prowadzi? Z pod Lublina? Czy to prawda, że Tatarzy...

— Oj, prawda, prawda, — zajęknęła najbliższa niewiasta. — Jak nas Tatarzy przepędzili, tak już tydzień uciekamy. Chciałyśmy uciekać jeszcze dalej, ale nam dziecięta pomarły, miłosierdzia prosimy na jedną tylko noczkę, aby nam te niewiniątka nie zamarły. Jutro pójdziemy, jak Bóg w niebie pójdziemy.

Mówiła wyrazami słowiańskimi, tyle nawet podobnymi do polszczyzny, że choć brzmiały inaczej, niż je podaliśmy dla dzisiejszego czytelnika, przecież mniszki prawie wszystko zrozumiwały. Dziwił je tylko akcent osobliwszy, nigdy niesłyszany; ale sądziły, że to za Lublinem ludzie mówią taką „ruszczyzną”.

— Ale, moja kobieto — ciągnęła przełożona — ja nie rozumiem; pobito was przed tygodniem, a wasze rany jeszcze takie świeże, pełno krwi na was...

— A to, moja matko, tak mróz pootwierał rany, mróz. Ksieni odstąpiła od okienka. Była zamyślona.

— Trzeba je wpuścić — rzekła — ale pierwej... może która z was poskoczy, zadzwoni na dziadków kościelnych, i przez kratę powie, aby poszli wkoło zobaczyć, stróżów pobudzić, bo istotnie te kobiety jakoś wyglądają podejrzanie... Może to jacy złoczyńcy przebrani?

Przez ten czas wychowanki i zakonnice kolejno zaglądały do kratki, a każda cofała się, składając ręce lub zasłaniając oczy. Istotnie widok był tragiczny: pod okienkiem stało z pięć lub sześć kobiet młodych, na wpół obnażonych, pociętych, świeża krew płynęła po ich twarzach i rękach, na których trzymały dzieci równie odrapane i zbolale. Nieco dalej, tłumem ogromnym, niemożliwym do rozeznania ani do policzenia w ciemności, roilo się zbiegowisko bab starych, przygarbionych na kiju, spowiniętych w pokrwawione płachty, jęczących głucho, jakgdyby z pod ziemi. Wszystko to, przy niepewnym świetle księżycy przesłoniętego chmurą, wyglądało na szereg larw cmentarnych.

Jedna zwłaszcza niewiasta najgłośniejsze rozwodziła skargi; ciągle chwytając się za ramię, krzyczała:

— O łotr poganin! Jak mię wczoraj ścisnął za rękę, to aż mi w kościach trzasło...

— Jakto wczoraj? — podchwyciła zakonnica, stojąca przy okienku. — Przecież to już tydzień?

— E, niech matuszka nie uważa — przerwała przedko inna kobieta — strach jęj przewrócił w głowie, precz jęj się zdaje, że to było wczoraj.





Na niebiosach i na ziemi  
 Białej, jaśniej i pogodniej.  
 Chmurka niebo gdy zaciemi,  
 Tchnienie wiosny wieje z pod niej.  
 Wiosna jeszcze za górami,  
 Mróz naciska twarz i ręce;  
 Ale ptaszek już się mami,  
 Już szczebioce o wiosence.  
 Już isierki śniegowiska  
 Rozgorzały w blask bogatszy,  
 Kropelkami wody błyska,  
 A słoneczko w niej się patrzy.

*Syrokomla.*

Przełożona przystąpiła znów do kratki, pytając:

— A niema tam żadnego mężczyzny? Bo temi drzwiami same tylko białogłowy mogą wchodzić. Mężów, braci, niema?

— A z kądby my wzięły mężów albo braci? Wszystkich Tatarzy wybili, wszystkich, co do nogi.

Siostra wysłana po kościelne sługi powracała właśnie.

— Już ich pobudziłam, zaraz przyjdą.

Przełożona wołała na szafarki:

— Trzeba przygotować łaźnię, ciepłą strawę, nanieść świeżej słomy.

A z otwarciem furty ociągała się jeszcze, oczekując przybycia mężczyzn.

Tymczasem któraś z owych staruszek przystąpiła do jednej z kobiet, trzymających dzieci, i coś szepnęła jej do ucha. Wnet dziecko wydało przeraźliwe krzyki, jakby je kto żywcem ze skóry odzierał, a kobiety zaczęły tupać o zmarzłą ziemię, wyrwać sobie włosy i kłać na czem świat stoi.

— A cóż? Czy nas tu nigdy nie wpuszczą? A cóż to za dom Boży, gdzie nie chcą ubogiemu otwierać? To tak, tłuste mniszki śpią na puchu, jedzą kury, a dla nędzarzy gorsze od Tatarów.

Zawstydzone temi wyrzutami zakonnice rzuciły się w prośby do starszyny, furtyanka, nie czekając ostatecznego rozkazu, nadbiegła z kluczami. Przełożona, choć jeszcze wahająca, pozwoliła otworzyć, ale tylko boczną, małą furtkę, przez którą ledwie jedna osoba mogła się przecisnąć.

Zaczęły wchodzić z jękiem: najprzód młodsze kobiety, które wnet zakonnicom przypadły do kolan, dziękując z niezmiernymi krzykami, potem starowiny: takie skulone, zapapuzzone chustami, że niepodobna było rozeznąć ich wzrostu ani twarzy. Trzy takie weszły, podczas kiedy reszta, natłoczywszy się w progu, pomrukiwała żałośnie, mimo zaproszeń furtyanki, zniecierpliwionej zwłoką, co mróz na nią pędziła.

Nagle jedna z owych babulek wyprostowała się w olbrzy-





Zadanie konkursowe.

ma, wyciągnęła ogromne ręce i przystąpiwszy do drzwi głównych, jednym zamachem zdjęła z nich sztabę żelazną.

Inne staruszki, także powyrastawszy, wydarły furtyjancę klucze, i zaczęły je dobierać do zamku.

Przełożona, przybiegłszy z oburzeniem, chwyciła pierwszą z tych olbrzymek za rękę i zawołała:

— Co to znaczy? Kto pozwolił?

Ale owa czarownica potrząsnęła głową tak mocno, że wszystkie chusty z niej opadły, i pokazała się straszna, koścista, skośnooka twarz mężczyzny.

Obejrzał się na zgromadzenie i pogroził sztabą.

Ze wszystkich ust niewieścich wyleciał jeden okrzyk przerażenia.

Zakonnice chciały biedz na pomoc przełożonej, którą zbój chwycił za gardło, ale nie mogły się wyrwać z objęć pierwszych kobiet, obejmujących je za nogi z udaną pokorą.

W téj chwili klucz został utrafiiony, oba skrzydła drzwi głównych rozwarły się na rozcież, fala zimnego powietrza wionęła i zgasiła większą część kagańców.

Słudzy kościelni właśnie nadbiegli. Widząc drzwi roztwarte, wpadli pierwsi, ale za nimi wpadło już mnóstwo innych ludzi, w krótkich kożuchach, w czapkach śpiczastych, zakrzywionych jak dziób krogulczy, z szablami i siekierami. Z poza narożnych murów sypali się bez końca, z pod każdego krzaka powstawali jak widma.

W sieni zapanował dzień sądny. Zakonnice i panienki zaczęły uciekać w głąb korytarzy, do sal, do celek, na poddasza, Tatarzy za nimi. Słudzy klasztorni, po krótkim oporze, padli zwaleni, konając na progu.

W téj chwili z wieży odezwał się głęboki, ponury głos dzwonu. Pewnie który z dziadków kościelnych, przytomniejszy niż inni, wrócił się od wejścia, i uderzył na trwogę. Wnet ze wszystkich okolicznych budynków pobudziła się ludność, wybiegła na pomoc, ale klasztor był już opanowany. Jednych zabijano po drodze, drugich na progu ich domostw.

Tymczasem w sieni, na pozór pustej, zostało kilka istot żywych. Kiedy mniszki puściły się na korytarze, Lu-



dmiała, swoim łowczem okiem objąwszy niebezpieczeństwo, szepnęła do kilku zakonnic bliżej stojących:

— Jak one mogą tam uciekać? Przecież tam już nie ma wyjścia? Trzeba owszem trzymać się blisko drzwi, może chwycimy porę...

Był w sieni ogromny komin, teraz czarny i wygasły; ale wielkie pęki drzewa leżały tam, już na dzień jutrzejszy ułożone. Ludmiła weisnęła się za to drzewo, równie jak cztery zakonnice. Wszystkie, przykląkwszy w popiele, drżały i wstrzymywały tchnienie.

Przyszła chwila, w której sień znalazła się osamotniona. Jedni łupieżcy pogonili za uciekającymi, inni na dworze walczyli z odsieczą.

Ludmiła wyczołgała się z komina, a widząc za drzwiami krajobraz pusty, księżycem blado oświetlony, skinęła na towarzyszek.

— Niema nikogo... uciekajmy.

Trzy wyszły za nią, czwarta nie ruszyła się, mówiąc:

— Ślubowałam, że do śmierci nie opuszczę tych murów. Czekam na śmierć.

Ludmiła cisnęła jej przez zęby te słowa:

— Dziecko z ciebie! Gdyby tylko śmierć, ale niewola... u pogan!

Wychyliła głowę, śledząc, czy przeddrzwiami niema straży? Nie było żywego ducha.

Przeskoczywszy przez trupy sług zabitych, wybiegła i zaczęła pędzić z lekkością sarenki, a trzy mniszki tuż za nią. Chwyciły się nawet za ręce, aby sobie łańcuchem pomagać, i już zaczęły oddychać, już mniej słyszały krzyków—tylko dzwon żałośny tętnił ogłuszająco w powietrzu przeczczonym od mrozu.

(d. c. n.)

## Najnowsze odkrycia geograficzne w Azji.

Świat tak zwany stary, to jest od niepamiętnych czasów ludziom znany, ukrywa jednak dotąd jeszcze mnóstwo niezbadanych tajemnic w niektórych swych częściach, leżących dalej od morza, w głębi lądu. Tak w Azji, jak i w Afryce, wybrzeża wszystkie dokoła były zwiedzane przez żeglarzy, trudniej daleko wędzić się w środek stałego lądu, gdzie podróż, w braku kolei a nawet wszelkich dróg uczęszczanych, nadzwyczaj jest uciążliwa. Tu w Europie tak nas popsuły koleje żelazne, że narzekamy na kilkamilowy przejazd powozem od stacyi kolejowej; wyobraźmy sobie, jak to się podróżuje w takich okolicach, gdzie żaden najprostszyszy powóz nie przejdzie, gdzie konie utrzymać się nie zdołają, bo wszędzie przeszkody najrozmaitsze tamują drogę, braknie wszelkiej paszy dla zwierząt, a często i wody. Odważni ludzie nie zrażają się jednak temi trudnościami, szlachetne zamiłowanie wiedzy dodaje im odwagi i wytrwałości, gotowi narazić się na największe niebezpieczeństwa, życie nawet złożyć w ofierze, byle wykryć nieznanne jakieś źródło rzeki, kierunek pasma gór i nakreślić na mapie ziemi nowe a ciekawe szczegóły.

Jednym z najznakomitszych takich podróżników czasów naszych, który europejską pozyskał sławę, był zmarły przy końcu roku ubiegłego generał Przewalski. Podczas gdy cała rzesza podróżników rozmaitych narodowości spieszy obecnie w głąb Afryki, on zapuszczał się pokilkakrotnie w równie mało znane okolice środkowej Azji, zwiedzał niedostępne puszcze, obszary bezludne, wyżyny ogołoczone z wszelkiej roślinności, gdzie rozrzedzone powietrze oddech utrudnia, a wieczne śniegi, pokrywające szczyty wyniosłe, czynią klimat nadzwyczaj chłodnym i przykrym.

Przewalski od lat najmłodszych okazywał wrodzone zamiłowanie do dalekich podróży, i zachował je do śmierci. Nie był jeszcze stary i gotował się właśnie do nowej wy-

prawy, gdy go zaskoczyła choroba i zakończył życie z wielką szkodą dla nauki. Sam mówił o sobie, że ile razy mu się zdarzało powrócić w progi rodzinne po długiej nieobecności, czuł zrazu radość i z przyjemnością używał odpoczynku wśród towarzystwa ludzi oświeconych, korzystał z wygód cywilizowanego życia, lecz już po dniach kilku ogarniała go tęsknota, zaczynał marzyć o nowych wędrownkach, o życiu pełnem przygód i niespodzianek, o dzikich i wspaniałych pięknościach przyrody, nie skrepowanej ani przekształconej ręką człowieka. Tam jedynie, w puszczech dalekich, w odludnych okolicach, do których nie dochodzi gwar ludzkich spraw i kłopotów, Przewalski czuł się zupełnie szczęśliwy. Nigdy też długo nie usiadł na miejscu, nieprzeparta żądza przygód pchała go nieustannie coraz dalej i dalej.

Zapuszczając się w niedostępne okolice Azji środkowej, podróżnik miał oddawna cel główny, którym pragnął uwieńczyć dzieło swoje. Zamierzał dotrzeć koniecznie do Hlassy, stolicy słynnego a tajemniczego władcy Dalai-Lamy, który jest zarazem najwyższym kapłanem wyznawców religii Buddy, za półbożka prawie przez nich uważanym. Przystęp do tego miejsca, otoczonego czcią bałwochwalczą, jest niezmiernie utrudniony dla Europejczyków i Przewalski, pomimo długich i wytrwałych usiłowań, nie zdołał ziszczyć gorących życzeń, nie dostał się aż do Hlassy. Owa podróż, której przeszkodziła śmierć znakomitego podróżnika, miała go właśnie doprowadzić nakoniec do upragnionego celu.

Lecz długie, czterokrotne podróże, w tej myśli przedsiębrane, jakkolwiek głównego tego celu nie osiągnęły, przyniosły jednak nauce plony niezmiernie cenne i obfite. Opisy podróży Przewalskiego tłómaczone były na wszystkie główne europejskie języki, odkrycia jego w dziedzinie geografii wyjaśniły kilka ważnych kwestyj i postawiły go w rzędzie najsłynniejszych uczonych odkrywców tegoczesnych, jak Stanley, Cameron, Nachtigal i tylu innych. Wybrał też okolicę, w której niewielu napotkał współzawodników; Afryka więc jakoś nęciła innych śmiałych wędrowców, a jednak i w Azji Przewalski znalazł szerokie pole do spostrzeżeń naukowych wszelkiego rodzaju. W dalszym ciągu ważniejsze z nich przedstawimy czytelnikom naszym.

d. c. n.

## PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

### XII.

Obóz wśród puszczy.

Pomimo lekceważenia, z jakim młodzieńcy nasi mówili o tym strzale, który tak niespodzianie przerwał ciszę samotnej puszczy, wypadek ten wywarł na nich pewne wrażenie i nadał inny kierunek ich myślom. Janek podzielał przekonanie Jurka, był prawie pewny, że to Indyanie włóczyli się po lesie, bo przecież spotkał się z nimi tegoż samego dnia z rana. Od chwili tego spotkania chłopak nie mógł się pozbyć mimowolnego niepokoju. Usiłował myśl oderwać od tego przedmiotu, lecz nadaremnie, nie był w stanie pozbyć się uporczywych wspomnień, ciągle miał przed oczyma wyobraźni olbrzymią postać wodza Wyandotów i jego syna. A myśl o nich nasuwała zaraz wniosek, że Hua-awa-oma nie przybył w sąsiedztwo osad białych ludzi sam tylko z synem, lecz zapewne przyprowadził z sobą oddział wojowników. Wyandoci, jak wspominaliśmy wyżej, byli najsrońszymi nieprzyjaciółmi osadników, Janek wiedział o tem, a chociaż dobrze się na tem nie znał, zdawało mu się, że malowidła,



okrywające twarz i piersi młodego Arowaki, oznaczały stan wojny; syn wodza prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu miał wstąpić na ścieżkę wojenną.

Coprawda postępowanie starego wodza z Jankiem wyglądałoby dziwnie, gdyby rzeczywiście tak nieprzyjazne miał zamiary względem osadników. W takim razie bowiem powinienby był, nietylko strzelbę, lecz i jej właściciela porwać natychmiast, jako zdobycz wojenną. Ale i ta okoliczność dawała się wytłómaczyć; może Hua-awa-oma chciał tym sposobem ukarać swego syna, który go rozgniewał, dając się pokonać białemu chłopcu. Zresztą, wódz ufał w swoją potęgę, liczył więc zapewne na to, że jak zechce, to przecież w każdej chwili, napadłszy na mieszkania osadników, porwie niejedną strzelbę wraz z rozmaitemi innymi przedmiotami. Mógł więc tymczasowo dogodzić swjej fantazyi i zabawić się w wspaniałomyślność z synem osadnika.

— Jeżeli Indianie rzeczywiście koczują w lesie — odezwał się pierwszy Janek po dłuższej chwili milczenia — to mojem zdaniem najrozsądniej zrobimy, unikając spotkania z nimi.

— Skoro my słyszeliśmy ich strzały, musieli i oni nasze dosłyszeć — zauważył Jurek.

— A może to osadnicy polują? — wtrącił Wiluś — dałbym coś za to, żeby można było wiedzieć na pewno.

— Ja myślę, że toby się dało wysledzić — rzekł Janek — trzeba tylko roztropnie się wziąć do rzeczy.

Towarzysze potwierdzili milczącym skinieniem głowy, Janek wyruszył naprzód, jako przewodnik, dwaj inni podążyli za nim; przeszli w poprzek ścieżkę i zapuścili się w gęszcze leśne po drugiej stronie, ztamtąd bowiem doszedł był odgłos strzału. Wkrótce grunt pod ich stopami zaczął się lekko podnosić, wstępowali coraz wyżej, aż nareszcie zatrzymali się na szczycie dość wyniosłego pagórka, o paręset stóp przynajmniej przenoszącego poziom całej okolicy. U stóp jego roztaczała się dolina rozległa, zajmująca przestrzeń półmilową, a poza nią podnosił się drugi pagórek podobny. Nasi młodzi myśliwi zatrzymali się na skraju gęstwiny, dalej zaś przed nimi i w dolinie las był znacznie przerzedzony, mieli przed oczyma widok odsłonięty, spoglądali też z namiętną uwagą i ciekawością wielką.

— Już ich mam! — szepnął Jurek i wskazał palcem oddalony punkt w dolinie, u stóp następnego wzgórza; towarzysze dostrzegli tam także po chwili nieznaczny obłoczek dymu, unoszący się z pomiędzy gałęzi drzew, skupionych w tem miejscu. Wiatru nie było, więc dym leniwie snuł się ponad drzewami, czepiał się ich szczytów i rozpląwał w powietrzu.

— Tak, nie ulega wątpliwości, że tam ktoś się rozłożył obozem — rzekł Janek — zawsze jednak nie możemy jeszcze wiedzieć, czy to Indianie, czy biali osadnicy; zagadka pozostanie nierozstrzygnięta.

— A jednak przyszedłszy tu po to, żeby ją rozstrzygnąć — dodał Wiluś.

— Mnie się zdaje — mówił Jurek — że chcąc ich wysledzić, możeby lepiej było, żebyśmy się rozdzielili i po jednemu stawali się zakraść pod obóz. Jak myślisz, Janku?

— Ja myślę — odparł zapytany — że mówisz bardzo rozsądnie. Jeżeli to są Indianie, to nie radbym, ażeby nas spostrzegli, a spostrzegą niezawodnie, jak będziemy szli kupą. Każdy z osobna łatwiej potrafi ukryć się przed ich wzrokiem. Wilusiu, cóż ty na to mówisz?

— Rozumie się, że podzielim wasze zdanie i zaraz wyruszą sam na zwiady. Jeden z was niech idzie na prawo drugi na lewo, ja będę się przemykał środkiem doliny.

— Ale pamiętajmy, że narażamy się na wielkie niebezpieczeństwo — odezwał się Jurek — miejmyż się na baczności. Jak tylko któremukolwiek uda się podpatrzyć obóz i zdobyć pożądaną dla nas wiadomość, niech nie traci czasu i w tej chwili powraca tu na to miejsce, gdzie teraz stoimy.

— Niedosć na tem — dodał Janek — kto pierwszy cel ten osiągnie i powróci z wiadomością, powinien dwom innym dać znać o tem, ażeby daremnie się nie narażali na niebezpie-

czeństwo. Toż trzeba najpierw obmyśleć jakiś znak umówiony — i Janek złożył obie dłonie przy ustach, pozostawiając pomiędzy niemi odstęp próżny, dwa duże palce do ust przytkając. Zaczął gwizdać, zrazu cicho, później stopniowo coraz głośniej, przenikliwe te dźwięki z pewnością rozchodziły się daleko, w całej dolinie. Gwizd ten nie był wprawdzie naśladowaniem głosu zwierzęcia lub ptaka, lecz miał tę korzyść, że niepodobna było oznaczyć miejsca, z kąd wychodził. Przysłuchując się tym dźwiękom z największą uwagą, jeszcze zapewne chyba kilka razy z rzędu je usłyszawszy, potrafiłby ktoś w przybliżeniu zaledwie domyśleć się kierunku, w którym się odbywały.

— Wszak wiecie, jak to się robi? — spytał Janek. Zamiast odpowiedzi, każdy z chłopców przyłożył dłonie do ust w sposób wiadomy i wydobył z nich gwizd zupełnie podobny.

— To dobrze — rzekł Janek — a więc umowa taka: pierwszy, kto wysledzi obóz w dolinie i dowie się, jacy wędrowcy w nim koczują, natychmiast takim znakiem zawiadomi towarzyszy, a potem pośpieszy tu, na to miejsce, gdzie się zejść mamy. Wówczas, połączywszy się znowu, gdyż dwaj inni, jak tylko usłyszą znak umówiony, pośpieszą na miejsce schadzki, naradzimy się, co dalej robić.

Wszystko to było łatwe do zrozumienia i zapamiętania, chłopcy zakończyli na tem walną naradę i rozeszli się, każdy w swoją stronę. Zgadujecie zapewne, że Wiluś Burton, który puścił się środkiem doliny, drogą najprostszą, najprędzej się zbliżył do obozu. Liczyli też na to obaj jego towarzysze i prawie nie wątpili, że od niego wyjdzie znak umówiony.

Wiluś Burton, pomimo młodego wieku, rozumiał, jak wielka odpowiedzialność spoczywała na nim, to też postanowił zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Był on prawie pewny, że dym pochodził z obozu Indian czerwono-skórych i nie miał najmniejszej ochoty wpaść w ich ręce. Z przyjemnością spostrzegł, spuszczać się w dolinę, że w braku drzew wynioslejszych, rosła wszędzie obfitość niskich krzaków; mógł więc przemykać się pomiędzy niemi niepostrzeżony.

— Radbym bardzo dowiedzieć się prawdy jaknajprędzej — myślał sobie — bo jeżeli w rzeczy samej znaczny oddział indyjskich wojowników włóczy się po lesie, to niema co długo tu popasać i najrozsądniej zrobimy powracając niezwłocznie do domu.

Po kwadransie mniej więcej wędrowki pomiędzy krzakami, Wiluś uważał, że musi już być niedaleko obozu. Teraz nie widział wcale owych obłoczków dymu, tak widocznych z wysokiego pagórka, na którym stali przed chwilą, lecz roztropny chłopak pamiętał, z jakiego miejsca wychodziły i mógł sobie powiedzieć na pewno.

— To tu gdzieś bardzo blisko.

I w rzeczy samej, przeszedłszy o kilka kroków dalej, ujrzał przed sobą obóz w całej okazałości. Po środku małej polanki, otoczonej drzewami, widać było dogasające ognisko. Na pniu obalonym, tuż obok ognia, siedziało trzech Indian w rynsztunku wojennym, rozmawiali pomiędzy sobą głosem przyciszonym w swoim języku. Inny, pochylony nad ogniskiem, zapalał fajkę, a piąty stał o parę kroków dalej i opatrywał strzelbę.

Wiluś umiał rozpoznać malowidła, używane przez Indian, od razu też spostrzegł, że ci wszyscy byli umalowani na wojnę, i domyślił się, że to była tylko mała częśćka większego oddziału, włóczącego się po lesie.

— To Wyandoci — rzekł chłopak sam do siebie — towarzysze tego wodza, którego Janek spotkał rano. Nie mamy tu co robić, trzeba jaknajprędzej umykać do domu. Jak tylko się trochę ztąd oddalę, dam znać tamtym i wyruszymy z powrotem.

I cofnął się śpiesznie, chcąc zamiar swój wykonać niezwłocznie, gdy wtem niespodzianie spotkał się oko w oko z Indianinem olbrzymiego wzrostu, który mu drogę zastąpił.



## Pytanie bez odpowiedzi.

W Indyach, jak wiadomo, klimat jest bardzo gorący, z trudnością go znoszą Anglicy, którzy tam licznie zamieszkują w częściach, do Anglii należących. Dla ulżenia sobie o ile możności, używają dużo chłodników rozmaitego rodzaju, lód zwykle dodają do napojów, a teraz, gdy są łatwe sposoby wyrabiania lodu sztucznego w każdej porze roku i w każdym klimacie, mają go zawsze podostatkiem.

Dnia pewnego kilku urzędników angielskich siedziało na werandzie, wspaniale ocienionej zwrotnikowemi wijąciami się roślinami, zaopatrzonej w przyrządy, wytwarzające sztuczny przewiew powietrza. Pomimo to upał dokuczał im straszliwie, było bowiem dnia tego nadzwyczaj parno, zbierały się chmury, cisza panowała w powietrzu, lecz czuć w niem było wilgoć, widocznie zanosilo się na burzę.

Owi panowie kazali sobie przynieść zamrożonego ponczu, a oprócz tego lodu w kawałkach, ażeby go mogli chłodzić raz po raz, bo każdy napój w takim cieple prędko się ogrzewa. Jeden z nich, niezbyt zapewne uczony, jak się w dalszym ciągu okaże, nalał sobie sporą szklanke ponczu, wrzucił do środka kawałek lodu i postawił przed sobą. W kilka minut poniosł szklanke z napojem do ust i spostrzegł, że była z wierzchu wilgotna cała, ciecz z niej ściekała kroplami; spojrzął na stolik i obaczył na miejscu, gdzie szklanka stała, malutkie jeziorko.

— Dali mi szklanke pękniętą — rzekł Anglik, a mówiąc to, umaczał palec w jeziorku i oblizał, co zapewne nie bardzo ładnie musiało wyglądać, lecz ponieważ tam pań nie było, więc się nie żenował.

— A, to rzecz szczerólna! — wykrzyknął, zwracając się do towarzyszy — w szklance jest poncz wyborny, osłodzony, aromatyczny, a tymczasem tu na stół wyciekła czystość woda bez żadnego smaku. Co to może znaczyć? Musi być taka malutka szparka w szkle, że ani rum, ani cukier, ani żadna zaprawa nie mogła się przez nią precisnąć, tylko woda czysta się wycodziła.

Jeden z obecnych, który lepiej to zjawisko rozumiał, zaczął się śmiać z niewiadomości owego pana i wytłomaczył mu rzecz całą. Przekonał go, że szklanka wcale nie była pęknięta, ani też ciecz się z niej przez wierzch nie wylała. Zkądże się wzięła woda, ściekająca tak obficie po zewnętrznej stronie szklanki? Zapytujemy o to czytelników; na odpowiedzi dajemy trzy tygodnie czasu, najlepszą wydrukujemy, o innych dobrych zamieścimy wzmiankę.

### PROZA I POEZJA.

Bo przyleciał już bocian do sosny rodzinnej, i rozpiął białe skrzydła, wiosny wczesny sztandar; a za nim, krzykliwemi pułki nadciągnawszy, gromadziły się jaskółki ponad wodami i z ziemi zmarzłej brały na swe domki błoto. W wieczór słyhać ciągnącej słomki szept w zaroślach, i stada dzikich gęsi ponad lasem szumią, i znużone spadają z hałasem

**Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Sprawozdanie z zadania konkursowego, dokończenie. — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Najnowsze odkrycia geograficzne w Azji. — Wierszyk Syrokomli (z drzew.). — Zadanie konkursowe (drzew.). — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.) — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Mała mamusia, (z drzew.), p. Cioć Janię. — Myśliwska przygoda małego Grzesia, wiersz p. Gabryelę Jasięnską. — Pan Wściński, dokończenie p. Bronisławę Porawską. — Łamigłównka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy.** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.

na popas, a w głębi ciemnej nieba, zórawie wciąż jęczą. Słyszac to, nocni stróże w obawie pytają, zkąd tyle zamieszania w królestwie skrzydlatem, jaka burza te ptaki wygania tak wcześniej?

(Ułożyć z tej prozy dwanaście wierszy).

### ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(ułożyli Kmicic i Oleńka).

Z następujących zgłosek: cy — czer — del — dya — dyk —  
~~ku — ku — lo — men — nie — ta — wień~~ — ułożyć wyrazy:  
 1. Miasteczko w naszym kraju. 2. Wyraz, oznaczający pewną liczbę. 3. Naród dziki. 4. Kolor w kartach. 5. Ptak domowy. 6. Trucizna. Litery początkowe i końcowe, odczytane od góry do dołu, utworzą imiona bohatera i bohaterki pięknej powieści historycznej.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

#### Sz a r a d y:

Lin — de.

#### Łamigłównki głoskowej:

Gwiazda Sudanu.

#### Trójkątu geograficznego:

W A R S Z A W A  
 A j a c c i o  
 R a w i c z  
 S a n o k  
 Z a r a  
 A b o  
 W y  
 A

### OGŁOSZENIE.

WYSZŁA Z DRUKU NAKŁADEM B. KOREYWY W KIJOWIE

### GRAMATYKA POLSKA W ĆWICZENIACH

przez **Wiktorynę Korwinównę.**

Książeczkę tę, bardzo pożyteczną dla uczących się, polecamy czytelnikom naszym.



## MAŁA MAMUSIA.

Zosia już pięć lat skończyła, już uczy się czytać, wszystkie literki poznaje. Umie także troszkę szyć, nie bardzo dobrze i często paluszki kole igiełką, ale nigdy nie płacze. Wujaszek kiedyś widział, jak Zosia ukłuła się i kropelka krwi purpurowej wystąpiła na paluszek; powiedział wtedy wujaszek, że ukłócia od igły są dla



panienki takie zaszczytne, jak dla rycerzy rany, na wojnie otrzymane. I Zosia od téj pory, ile razy się ukole, mówi zaraz:

— To nic, to zaszczytne rany — a chociaż trudno jój wymówić wyraz *zaszczytne*, i głoskę *r* niebardzo dobrze jeszcze wymówić może, sili się i powoli, wyraźnie, powtarza parę razy — *zaszczytne rany!*

Zosia ma laleczkę, a chociaż nie potrafi jeszcze całego ubrania dla niéj uszyć, zawsze sama obrębia spodniczki, resztę już mama robi albo ciocia. Téj laleczce bardzo dobrze u Zosi, ona ją pielęgnuje, nazywa swoją córeczką, uważa zawsze, jak mama obchodzi się z małą siostrzyczką jój Anią i zupełnie tak samo przemawia, tak samo we wszystkim postępuje ze swoją córeczką Filomeną. Ania ma dopiero trzy latka, daleko młodsza od Zosi, ale bardzo na swój wiek rozsądna, sama wkłada pończoszki, a jak grzecznie pozwala się umywać. Zosia nieraz daje ją za przykład Filomenie, nic to jednak nie pomaga, Filomena ani się ruszy przy ubieraniu, sama nic nie robi, trzeba jój wciągać pończoszki, trzewiczki, nawet stać nie chce, musi ją mała mamusia trzymać na ręku.

— Prawda, cioteczko — mówiła raz Zosia do cioci — że ja jestem taką dobrą mateczką dla Filomeny, jak mamusia dla mnie i dla Ani. Pamiętam o niéj, pilnuję, żeby jój się nic złego nie stało, bardzo jój u mnie dobrze. Jabym już potrafiła być prawdziwą mamusią jakiejś żywej dziewczynki, takiéj, jak Ania.

Ciocia zaczęła się śmiać, uściskała Zosię i znowu się śmiała: „cha cha cha!”

— I czegoż cioteńka się śmieje? — pytała Zosia, troszkę obrażona — myśli ciocia, żebym nie potrafiła? Byle tylko ta żywa córeczka była grzeczna, posłuszna, taką byłabym dobrą mateczką, że nie potrzeba lepszej.

— O, zapewne, żeby była taka spokojna, jak twoja Filomena, tobyś sobie dała z nią radę — odrzekła ciocia — z taką córeczką, to łatwa sprawa.

— Jabym tak samo dała sobie radę i z żywą — upewniała Zosia.



I odbiegła do Filomeny, wzięła ją na ręce, dawała jój różne nauczki, chcąc przekonać ciocię, że jest zupełnie taką mateczką, jak należy. Ciepło było dnia tego, okno otworzono i Zosia usiadła przy niem, patrzyła na ulicę; Filomenę posadziła na oknie, żeby i ona zobaczyła coś ciekawego, tłumaczyła jój i opowiadała wszystko, co widziała.

— Patrz, Filomeno — mówiła — ta panienka, co niesie paczkę książek i kajetów, idzie na pensyą. I ja, jak urosnę, będę także na pensyą chodziła. Ty nie pójdziesz ze mną, ale ja tobie opowiem, jak wrócę, czego mnie tam będą uczyli. A ten chłopczyk, widzisz...

Mówiąc to, Zosia wysunęła Filomenę na sam brzeg okna, żeby lepiej zobaczyła ucznia, powracającego ze szkoły z tornistrem; i nie dokończyła opowiadania, tylko krzyknęła przeraźliwie, bo Filomena wychyliła się tak nieostrożnie z okna, że wypadła na ulicę.

Zerwała się biedna Zosia, chciała córeczkę pochwycić, ale mama chwyciła ją wpół, bo bała się, aby jeszcze i ona za Filomeną nie wyleciała. Kasia pokojówka wybiegła prędko na ulicę, podniosła Filomenę, której na szczęście nic złego się nie stało, bo na wznak upadła.



Gdyby była twarzą uderzyła o trotuar, byłaby z pewnością nosek uszkodziła.

— A coby było z żywą córeczką, Zosiu? — spytała ciocia i znowu zaczęła się śmiać serdecznie, podczas gdy Zosia, troszkę zawstydzona, poprawiała ubranie Filomeny i cichutko ją strofowała za nieostrożność.

*Ciocia Jania.*

### Myśliwska przygoda małego Grzesia.

Patrzcie! co to za szkarada?  
Co? to Grześ się mały skrada  
Do starszego brata szafki!  
Rzucił w kąt własne zabawki  
I zadarłszy w górę główkę,  
Ściąga z półki dubeltówkę.

\* \* \*  
— Aha! — myśli malec sobie;  
— Niespodziankę wszystkim zrobię,  
Bo słyszałem przy herbacie,  
Jak brat Kazio mówił tacie,  
Że na łące, ot tam w błocie,  
Dzikich kaczek leżą krocie;  
Nawet poszedł tam wieczorem  
Z dużą strzelbą, z psem Azorem,  
Lecz ze wstydem wrócił biedny,  
Bo nie zabił ani jednej.  
Ale za to, jak Grześ pójdzie,  
Żadna kaczka mu nie ujdzie,  
Grześ myśliwy, i nie mały,  
Jak wystrzelił raz w zwierciadło,  
To ze ściany zaraz spadło  
I potłukło się w kawały;  
Więc to jasne, oczywiste,  
Że dziś wieczór odda mamie  
Z dziesięć kaczek na pieczyście,  
Toż to będzie dziękowanie!

\* \* \*  
I to mówiąc, nasz chłopczyna  
Na ramieniu broń przypina,  
I wyszedłszy cicho z domu,  
Biegnie chyłkiem pokryjomu.  
Choć broń ciężka, żwawo kroczy.  
W strachu, czy go kto nie zoczy,  
Choć go wabi jagód mrowie,  
I zielone w grochu strączki,  
Przebiegł szybko aż do łączki  
I nie oparł się aż w rowie.  
Tam dopieroż stanowisko!  
Myśliwego chronią krzaczki,  
I z pewnością, dzikie kaczki  
Muszą tutaj mieć siedlisko!

\* \* \*  
Więc szczęśliwy, dumny z siebie,  
Chłopczyk czyści broń i mierzy,  
I nie widzi, że na niebie  
Wciąż na zachód słońko bieży;  
Że wprost niego groźne chmury,

Jak bałwany kryte sadzą,  
Z poza siniej wyszły góry,  
I do boju się gromadzą.  
Pewnie straszna będzie burza!  
Czarny obłok wciąż się zniża,  
Coraz ciemniej, noc się zbliża,  
Czasem księżyc się wynurza  
I płacziwą strojąc minkę,  
Smutnie patrzy na chłopczynkę.  
Lecz Grześ na nic nie uważa,  
Choć się zwykle burzy lęka,  
Teraz śmiało w rowie kłęka,  
I ściskając fuzyą w dłoni,  
Chociaż ciemno już na dworze,  
Wzrokiem dzikie kaczki goni,  
Lecz coś dojrzeć ich nie może.

\* \* \*  
Ale nagle! Grzesio mały  
Jakiś szelest tuż, tuż słyszy,  
I dostrzega, że ptak biały  
Pośród nocnej wzniósł się ciszy.  
Chłopcu serce bije młotem,  
Podniósł kurek i przycisnął,  
Strzelił!... a wtem, wielki Boże!  
Straszny piorun przed nim błysnął,  
I z okropnym upadł grzmotem.  
Jednocześnie tu na dworze  
Wicher zerwał się szalony,  
Grom za gromem wkoło bije,  
A nasz chłopczyk przerażony  
Padł na ziemię, ledwie żyje.  
Włosy jeżą się na głowie,  
Drży przemokły nieboraczek  
I bez duszy leży w rowie  
Z wielkim strachem, lecz bez kaczek.

\* \* \*  
A tymczasem tam we dworze  
Strach pomyśleć, co się dzieje!  
Mama jęczy i łzy leje,  
Ojciec dłonią podparł czoło,  
Straszna znać go myśl przenika,  
Porozsyłał ludzi w koło,  
I sam szukać chce chłopczyka.  
Brat do szafy swęj kroczy,  
A nie widząc w niej bronie,  
Przerażone wzniósł oczy  
I cichaczem łzy roni.  
Wszyscy martwią się, biedzą,  
Nawet mała siostra płacze:  
— Pewnie Grzesia nie zobaczę,  
Pewnie go tam wilcy zjedzą!

\* \* \*  
W późną noc, aż gdzieś nad ranem,  
Znaleziono Grzesia ślady;  
Leżał z włosem potarganym,  
Z zimna, strachu, drżący, błady,  
Poniszczone miał ubranie,  
Lecz gdy wrócił w noc do domu,  
Coś nie chwalił się nikomu  
Ze świetnego polowania;



Nie miał miny myśliwego,  
A że zdarł ubranie czyste,  
Więc słyszałam, że dnia tego  
Nie jadł kaczek na pieczyste.

*Gabryela Jasińska.*

## Pan Wścibski.

(Dokończenie).

W godzinę może potem Katarzyna przychodzi do pokoju i zapytuje:

— Proszę pani, jaki to ma być sos do tej potrawy?

— Do jakiej potrawy? — rzecze mama ze zdziwieniem — przecież dziś pieczeń wołowa.

— Proszę pani, przyszedł pan Wścibski, i powiedział, że będzie potrawa z kapłonów z jakimś nowym sosem, mówił, że pani tak kazała.

Mama zawstydzila się bardzo za swego synka, ale nie chcąc, aby drugi raz było podobne nieporozumienie, choć z wielkim żalem, rzekła jednak:

— Moja Katarzyno, proszę cię raz na zawsze, żebyś nie słuchała nigdy, co ci ten Wścibski mówi. Wiedziałś przecie, że kapłony mają być na czwartek, mamy mieć gości na obiedzie, niechże więc Franeczka zabije inne, aby skruszały dobrze.

— Myślałam, że pańskiemu dziecku wierzyć można — rzekła Katarzyna na swoje usprawiedliwienie — ale już od dzisiejszego dnia nigdy pana Wścibskiego nie usłucham.

To jedna historia, ale takich historij bywa na dzień dziesięć. Nie można nic powiedzieć, nic projektować, bo pan Wścibski w lot słowa pochwyci, i dyspozycje wyda na rzecz taką, która dopiero była w projekcie.

Raz coś tam przewinił chłopiec od trzody i tatuś powiada przy kolacy:

— Z tego urwisa Walka to nic już porządnego nie będzie, i jak jeszcze raz co przeskrobie, to go wydalę ze służby; niech sobie wraca do rodziców, a może go bieda nauczy prędjéj rozumu.

— Może on się poprawi — rzekła mama, wstawiając się za chłopcem — taki jeszcze młody, nie ma rozumu.

— A, już mi się uprzykrzyły te ciągle na niego skargi — rzekł tatuś.

I na tem skończyła się rozmowa. Nikt się ani spostrzegł, kiedy pan Wścibski wyszedł z pokoju, a za chwilę był już w czeladnej.

— Słuchaj, Walek — rzekł do chłopaka, który płucał kartofle, aby je nastawić dla trzody — tatuś powiedział, że cię dłużej trzymać nie będzie, możesz sobie iść do domu, do rodziców, a może cię bieda rozumu nauczy.

Chłopak stanął, jak wryty.

— Paniczu — wyjąkał nieśmiało — pan to mówił?

— Tak, bo tatusiowi już się uprzykrzyły te ciągle na ciebie skargi — rzekł pan Wścibski — mamusia prosiła za tobą, ale...

I pan Wścibski urwał, bo kłamać nie umiał, a tu raptem nie wiedział, czy prośba mamusi miała jakiś skutek, czy nie. Ale Walek nie uważał tej przerwy, był przygnębiony tą odprawą, i rzekł przez łzy:

— O! pani taka dobra!

Panu Wścibskiemu żal się zrobiło chłopaka, wrócił do pokoju, i stając przy ojcu, rzekł cicho:

— Niech tatuś nie odprawia Walka, on się biedak tak zmartwił, że aż płakał.

— Czem się tak zmartwił? — zapytał tatuś.

— A tem, że go tatuś odprawił — rzekł chłopczyk.

— A z kądże on wie o tem? zresztą, przecież go nie odprawiłem jeszcze, mówiłem, że zrobię to wtenczas, gdy się nie poprawi — rzekł ojciec, zdziwiony nieco tem wstawieniem się syna — czyś ty mu co mówił?

— Tak, proszę tatusia — rzekł pan Wścibski nieśmiałym głosem, mrugając przytem prędko oczkami — ja mu to powtórzyłem...

Tatuś popatrzył surowo na synka, a zwracając się do rządcy, rzekł:

— Panie Andrzej, powiesz pan wszystkim furnanom, parobkom, wszystkim chłopakom, będącym w służbie, aby nieuważali nigdy na to, co mój syn mówi, aby go nie słuchali nigdy w niczem; wtrąca on się bowiem w to, co do niego nie należy wcale, słowem, jest nieznośny „wścibski”. Onby mi tu całą służbę poodprawiał, i anibym wiedział kiedy.

I istotnie Walek poszedł do chałupy, rodzice się na niego bardzo gniewali, a ojciec podobno go nawet i ukarał, a wszystko to stało się przez niepotrzebne najzupełniej wtrącanie się dziecka w to, co do niego nie należy.

I oto druga historia, a choć Walek wrócił do służby, ale dla pana Wścibskiego wstyd został na długo. A tych małych historyjek, toby i na wołowej skórze nie spisał, co chwila jest coś nowego. Mama mówi do młodszéj:

— Podnieś też roletę.

Ale młodsza jeszcze nie zdążyła się ruszyć, kiedy roleta z całym zamachem podskakuje do góry, sznurek się zrywa, płótno przekręca, i już zepsuta.

No, i jakże wam się to podoba, kochane dzieci? Pewnie nie bardzo, bo i mnie niebardzo, ale ja mam nadzieję, że się to zmieni, bo pan Wścibski myśli naprawdę o poprawie.

Ma on zamiar korespondować z czytelnikami „Wieczorów” nie wie tylko, jaki sobie obrać pseudonym. Radzono mu, aby zatrzymał nazwisko nadane mu w domu, ale się na to bardzo oburza i przystać nie chce, a więc niechże sobie obmyśli co lepszego.

Ja polecam go życzliwości waszéj, kochani czytelnicy, i ręczę wam, że byłby to w całym znaczeniu dobry chłopczyk, gdyby... No, wiecie już co.

*Bronisława Porawska.*



SZARADA.

(Dla Kochanej pani od Gołąbki skalnej).

Pierwsze znane rzeki miano, *Pa*  
 Drugim zwykle wożą siano, *woż*  
 Wszystko zaś do jazdy służy,  
 A szczególnie do podróży.

Łamigłówka kryształowa.  
 (Gospośia z nad Warty).

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Pora dnia.
4. Marynarz.
5. . . . .
6. Taniec.
7. Organ zmysłu.
8. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko sławnego kompozytora muzycznego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 11-go.

Szarady:

Fa — so — la.

Skrzynka do listów.

Yum-Yum pisywała już dawniej do naszej redakcyi, o ile sobie przypominamy, nawet pod tym samym pseudonimem. Wszak tak, nieprawdaż? O! my mamy dobrą pamięć. Bardzo radzi jesteśmy nowo zawiązaną korespondencyi po tak długim milczeniu.

Pegaz Skrzydlaty już po raz drugi nadsyła Homonimy, bardzo dobrze ułożone.

Wejdewutas dowcipne nadesłał łamigłówki i całkiem nowe, nie wiemy tylko, czy te figury dadzą się z łatwością w druku wykonać. Doniesiemy później.

Narcyz z Krakowa ujrzałby w druku swoją szaradę, gdyby był nie zapomniął o rozwiązaniu. Łamigłówka trafnie odgadnięta.

Kureczkę z nad Ikwy donosimy, że odpowiada na liściki p. Zaleska, czyli Kochana pani, która uścisk przesyła Kureczce za pochlebne zdanie o „Dwóch siostrach”.

Cicha woda ma śliczne upodobania, skoro o oszczędnościach myśli w celu kupienia pożytecznych książek. Pokochaliśmy za to tę miłą Cichą wodę. Dwóch liścików na raz i tak długich nie sposób pomieścić. Ubranie bardzo się przydało biednym dzieciom.

Jaskółce z nad Dunaju za tak zajmujący liścik dziękujemy serdecznie. Gołąbka go zabrała i chce zużytkować.

Alea przyjemność wielką sprawiła autorce „Branki litewskiej”, donosząc, że jej się ta powieść nad wszystkie inne podobała. Zachęcona tem powodzeniem, przygotowała już drugą w tym rodzaju „Szesnastoletni wojewoda”.

Don Carlosowi dziękujemy bardzo za przestrożę, ale... czy to czasem nie kociel garnkowi przymawia? Kiedyś pewien ptak długonogi... sza, nie róbmy plotek.

Stefanii K. w Włoszczowej. Na ten raz odesłano, lecz adresu tego niema w naszych księgach, trzeba się upominać tam, gdzie Pismo jest prenumerowane.

Psoтник nadesłał szaradę, w której sensu braknie, pewnie jest jakaś omyłka.

Szwedzką zapałkę najchętniej zaliczamy do grona korespondentek, zwyczajna byłaby niebezpieczna, ale szwedzka pożaru nie wzniesi.

Kłosek litewski odebrał już zapewne żądane N-ra. dla ubogich zostało 70 kop.

Topolka ze stepu nie potrzebuje przysyłać pieniędzy, jeżeli N-ru. z poczty nie odbierze, trzeba tylko dać znać zaraz po otrzymaniu następnego.

Gospośia z nad Warty pisze tak porządnie, że nie potrzebuje „pobłażania za swoje gryzmoły.” Gospośia ta niedarmo ten pseudonym wybrała.

Rezedka i Lucio des E. trafnie odgadli łamigłówki.

Jaskółce z nad Sekwany siostra z nad Dunaju przesyła serdeczne pozdrowienie. Obie staruszki, rówieśniczki co do wieku, imienniczki po pseudonimie. Wiem, że nosisz imię bohaterki szekspirowskiego dramatu; czytałam liściki twoje, opis uroczystości na pensyi i pokochałam cię bardzo. Bądź życzliwą Jaskółce z nad Dunaju.

Kochana Złota Rybko! Mam wielką ochotę zawiązania z tobą korespondencyi. Dla tego jesteś mi miłą, że i mnie mama moja nazwała „Złotą rybka” od pierwszej chwili przyjścia mego na świat. Napisz mi, jak ci na imię, ile masz lat i gdzie mieszkasz? Ja mieszkam w Warszawie. Życzliwa ci „Rezedka”.

Droga moja Pierwsza Kwadro! Ja także lubię kurki i mam ich kilka, jestem tak jak ty jedynaczką i uczę się u mamy. W niedzielę czytam nasze kochane Wieczory. Donieś mi proszę, jaka powieść w Wieczorach najwięcej ci się podoba, bo mnie „Najnowsza powieść Deotymy.” Ściskam cię, Kureczka z nad Ikwy.

Droga Biała Chmurko! Zgadłaś kto ja jestem. I ja także domyślałam się, kto ty jesteś. Masz małą siostrzyczkę Leleę, czy zgadłaś? Przyjmij serdeczny uścisk od Szarej Kotki z nad Chomoru.

Do Leliwianki!

Prosiłaś mię o wierszyk: Redakcyja, niestety,  
 Nie drukuje utworów młodego poety;  
 Więc mimo twojej prośby i chęci najszczerzej  
 Nie mogę ofiarować nawet... i dwóch wierszy.

Pegaz Skrzydlaty.

(A jednak zamieszczamy aż cztery! przyp. red.)

Kochana Mrówko z nad Warty! Napisz mi przez W. R. ile masz lat, gdzie mieszkasz, i jak ci na imię? Dlaczego obrałaś sobie ten pseudonym? zapewne musisz być tak pracowitą, jak Mrówka, Ja mam lat 14, imię moje Jadwiga a mieszkam w małym miasteczku Pyzdrach; tak, jak i ty, nad Wartą. Może się kiedy poznamy? A tymczasem przyjm serdeczne uściśnienia, z prośbą o odpowiedź, na którą oczekuje Gospośia z nad Warty.

Śnieżycy, Krasnolicy, Ukraince na Mazowszu, Mołodycy Ukrainkiej, Dewajtis, Wiochnie, Sarence z nad Moroczcu, i Stokrotce z nad Stochodu, przesyła uściśnienia Gospośia z nad Warty.

Oprócz tego liściki, których dla braku miejsca nie zamieszczamy przesyła: Cicha woda do Rezedki, Artystka do Rozpierzanej Jedynaczki, zapytując, czy bardzo szczęśliwa z tego, że jedynaczką być przestała? Kureczka z nad Ikwy do Różyczki Białej z W. Herkules do Adeli G., zapytując czemu sobie pseudonimu nie obierze, Westalka pyta Jesieni, czy lubi „Pracownią pana Adama” i czy czytała „Dwie Siostry”? Niezabudka z nad Chomoru pozdrowienia serdeczne zasyła Jaskółce z nad Sekwany i Brzydotce z nad Tamizy.